ROZMAITOŚCI.

Dnia 26. Kwietnia. Ner 17. Roku 1854.

ZŁOTY KLUCZYK

z francuzkiego, P. Oktawa Feuillet.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 16. Rozm.)

Zuzanna.

Dość żem wcale niepojmowała tego, a tak byłam zmięszana, że chcąc mnie uspokoić, ujęłaś moje obydwie ręce mówiąc: Niema w tém nic złego moje dziécię; ale czyliż można wiedziéć, jak mu na imię? Czy brunet? czy blondyn? czy królewicz jaki?... Niebył on królewiczem, Jeannetto, i niemiał jeszcze nazwiska: niekochałam się w nikim... a jednak byłam zakochana. Sama siebie już niepoznawałam. Nie znajdywałam w niczém przyjemności, tylko w samotności i w smutku. Wstydziłam się iż byłam podobną do owych nudnych bohaterek romansów, które nas przy czytaniu wieczorném tak często pobudzały do śmiechu. Jednak poddawałam się temu urokowi, — który mnie upokarzał, ale którym byłam upojona. — Oddawałam się z przyzwyczajenia moim codziennym zatrudnieniom, ale niewiedziałam, ani słyszałam nic co się koło mnie działo. Byłam bez ustanku jak uśpiona w widzeniach, które przemawiały do mnie, a którym nieśmiałam odpowiadać. Przychodziłam szukać ich w cieniu tych ustroni... — Czasem, jak gdyby przebudzona nagle, uczułam ból niewymowny; przyciskałam do pałającego czoła bukiet świéżo zerwany i oblewałam go łzami.

Jeannetta.

To było niedobrze, moja pani. Teraz sobie przypominam wszystko. To ja podnieciłam te myśli.

Zuzanna.

Mój Boże! były one już dobrze rozniecone bez ciebie, moja biédna Jeannetto! Zresztą nie ukrywałam ci tego wcale... wyznałam ci że pośród tych marzeń i pomiędzy temi widmami które mnie wszędzie ścigały, było jedno którego się lękałam więcéj niż innych, a które mimo to częściéj wyzywałam. Rysy jego... Bóg wie z jakiego wspomnienia lub z jakiego przeczucia nastręczały się mojéj wyobraźni!... oddychały jakąś posępną dumą, którą obecność moja zmieniała w przymilający uśmiech... oczy jego zdawały się obiecywać wszystko, cokolwiek kobiéta upatrywać może wznio-

słego i szlachetnego w swym przyjacielu, w swym obrońcy, w swym mężu.... honor, jeniusz, dobroć! — Ale zarazem zdawało mi się i to mnie najwięcéj pociągało do niego, że go dręczy jakaś niewymowna zgryzota — i tylko ja pocieszyć go zdołam.... Zbliżył się ku mnie... ręka jego dotknęła się mojéj i czułam jak serce we mnie stygło... jak dusza moja ulatywała. — Na to moje opowiadanie, na to skréślenie ubóstwionego ideału, odpowiedziałaś Jeannetto: To dobrze, moje dziecko; to wszystko dobrze! ale prośmy teraz Boga, ażeby nam go zesłał takim, jakim go marzysz! — Otóż takiego, jak go marzyłam, zesłał mi Pan Bóg! To marzenie moje, ten ideał ubóstwiony, jest tutaj — żyjący! Kocha mnie, jest moim mężem!... To chciałam powiedziéć, tobie Jeannetto, i wszystkim tym powiernikom mego marzenia, tym drzewom, — tym kwiatom, — nocy... gwiazdom! O jakże piękna noc dzisiejsza! jakie niebo promieniące! spojźrzyj!... Jakaż woń rozchodzi się w powietrzu! Jakże dobrym jest Bóg!... jakże ja cię kocham Jeannetto!

Jeannetta.

Tak... tak... kocham cię Jeannetto! — Teraz się z nikim niemieniam!

Zuzanna.

O jedno tylko się boję, moja miła, — że nie jestem może godna być jego żoną.

Jeannetta.

Co też pani mówisz!

Zuzanna.

Co tam za odwaga! Przygody jego w Afryce opowiadał mi ten oficer co siedział przy stole obok mojéj ciotki.. p. Jérzy Vernon, wiesz, którego bratu pan... Raoul ocalił życie...

Jeannetta.

Za pozwoleniem pani, czy służył w wojsku pan Raoul?

Zuzanna.

Ale gdzie tam, to właśnie godne podziwienia. — Przyjechał do Afryki odwiedzić pana Vernon, swego przyjaciela jeszcze ze szkół.., Ten właśnie wybierał się na jakąś wyprawę przeciw Arabom... on mu towarzyszył jako ochotnik dla rozrywki... to niesłychana ta odwaga u mężczyzn! — Przybywają w góry i tam spotykają się z nieprzyjacielem. — Pan Vernon, sam ranny i rzucony z konia, widzi swego młodszego brata, — którego, jak się zdaje, kocha nad życie — broniącego się z rozpaczą przeciw kilkunastu Arabom; woła tedy: — Ratuj Raoulu! Raoul był o dwadzieścia do trzydziestu stóp wyżéj... spadzisty wyłom skały dzielił ich... spina swego konia i spuszcza się, nie, — spada jak grom! Głowa się zawraca tylko pomyśléć o tém... koniec końcem, ocalił ich obydwóch. — Pani! — mówił mi pan Vernon, — wtedy rzeczywiście widziałem cud, — widziałem Boga! — A gdym pomyślała Jeannetto, że ten mąż waleczny, — ten mąż straszny, pokornie klęczał przed chwilą przy moim boku, prawie u stóp moich!... O! ja go kocham całą moją duszą!

Jeannetta.

Nic chwalebniejszego... alboż ja się użalam na to? Tylko, słuchaj pani swojéj staréj Jeannetty, zaklinam panią, —

kochaj go pani jak najmocniéj, — ale niemów mu tego, — przynajmniéj nie w ten sposób, jak się pani tu przedemną wynurzasz.

Zuzanna.

A! niech Bóg broni! Gdzieżbym ja śmiała powiedziéć mu coś podobnego?... zaledwie go znam... Jednak jestem już jego żoną a on moim mężem... to trochę dziwnie, nieprawdaż Jeannetto? Ale też — co za rozkosz w téj wzrastającéj przyjaźni, która z każdym dniem więcéj nas zbliży ku sobie łącząc nas coraz ściśléj, aż oboje będziemy mieli tylko jedną myśl i jedną duszę! . Co do mnie pewną jestem, że ta miła przyszłość, zaczynająca się od téj godziny, niewyjawi mi w nim nic takiego, czegobym naprzód nieodgadła, nic coby nie usprawiedliwiło jego tryumfu a mojéj słodkiéj niewoli.... On sam — wydam ci się pewnie zarozumiałą — mnie się zdaje że ja mu zachowuję w głębi serca mego niejedną miłą niespodziankę, a otwiérając mu księgę serca mego, nauczę go cenić swój wybór nad swoje oczekiwanie!...

Jeannetta.

U burmistrza i w kościele, zdawał mi się trochę zimny.

Zuzanna.

Zimny? Dziwna jesteś, Jeannetto! — Jakto, chciałabyś może żeby płakał jak kobiéta. — Powiedz prawdę, ty jesteś zazdrośna!

Jeannetta.

Ha! być może — ale... cicho!... słyszysz pani?

(Słychać głos zbliżajacych się osób.)

Zuzanna.

Uchodźmy!... *(Bierze ją pod ramię.)*

Głos, *(w niejakiém oddaleniu.)*

Ile ma lat?

Drugi głos.

Dziewiętnaście.

Zuzanna *(z cicha, z zajęciem.)*

To on — i pan Vernon!

Jeannetta.

Chodźmy ztąd... chodź pani!

Zuzanna.

Nie, nie, słuchaj!

Głos.

Zachwycająca.

Drugi głos.

Prawda.

Jeannetta.

Umykajmy. Idą tędy.

Zuzanna.

Jeannetto... oni mówią o mnie — zdaje mi się. O! jakżebym chciała!... czyliżby w tém było co złego... wszakże to mój mąż! Proszę cię... tutaj, za ten kląb, — pójdź za mną... *(Ciągnie ją za sobą.)*

Pan młody.

Raoul d'Athol, Jérzy Vernon; *(idą zwolna prowadząc się po-pod boki.)*

Jérzy.

Ale gdzież oną się podziała?

Raoul.

Niewiem..; zasiadają do kart, mamy jeszcze czas... zresztą powiedziałem Lhermitowi ażeby mi dał znać kiedy ona powróci... Czy to może z grzeczności porzucasz nas tak prędko?

Jérzy.

Z grzeczności — i z potrzeby. Urlop mój kończy się dziś rano. O któréj godzinie przechodzi piérwszy pociąg?

Raoul.

O piątéj. Daj mi przynajmniéj słowo, że przyjedziesz polować ze mną w jesieni, za dwa lub trzy miesiące.

Jérzy.

Téj jesieni? Dobrzebym wyszedł!... Znienawidziłbyś mnie. Przecież musiało ci się nieraz zdarzyć być trzecim w obec dwojga zakochanych: proszęż cię, powiedz mi czy jest w życiu ludzkiém sytuacya niezgrabniejsza a zarazem nieznośniejsza.

Raoul.

Widać że przybywasz z Afryki, biedaku! Powiem ci że trzymiesięczne tête-à-tête, w naszych francuzkich obyczajach, uchodzi za dostateczną rozrywkę; przechodzi nawet w monotonię, a przyjaciel przerywający ją pełni tylko swój obowiązek.

Jérzy.

Do pioruna! ja, gdybym miał taką żonę jak twoja, zdaje mi się, żebym się zamknął z nią w jakiéj wieży!

Raoul, *(poważnie.)*

Ciemnéj!

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZA PÓŹNO.

Komedya w 1 Akcie wierszem.

przez

Ksawerego Godebskiego.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 16. Rozm.)

Hrabina. *(na stronie.)*

Lękam się mimowolnie tych związków osnowy.

Podkomorzy.

Spieszę powitać gościa.

Zosia *(patrząc przez okno.)*

Co widzę?. Wojskowy!..

Młody i hoży.

Podkomorzy.

Jakto!

Zosia.

Rysy dość mi znane...

Alez... ah! pani...

Hrabina.

I cóż?

Zosia. *(odchodząc od okna, do Hrabiny.)*

Zejście niespodziane:

To Rotmistrz!. trafia dobrze — przewidział
Poznałam go od razu. (wesele:

Podkomorzy *(do Hrabiny.)*

Znasz go?

Hrabina.

Tak... nie wiele...

Zosia *(na stronie.)*

Może też więcéj poznać jesteśmy ciekawi.

Podkomorzy.

Ilekroć w domu brata za urlopem bawi,
Raczy mnie, jak widzicie, najeżdżać czasami.

Zosia.

Gość przyjemny.

Podkomorzy.

Trzpiot wielki mówiąc między nami.
A ten przeklęty Wacław,..

Hrabina.

Trwożyć mnie zaczyna:
Może jaki przypadek...

Podkomorzy.

Chyba ta przyczyna:
Żadnéj innéj wymówki nie przyjmę i kwita.

Zosia.

Każda wymówka dobra, kiedy niezużyta.

Scena 3.

Poprzedzający. — Rotmistrz.

Rotmistrz.

Przepraszam po sto razy, że niespodziewaną
Narzucam się wizytą, a zwłaszcza tak rano;
Ale wszyscy są dla mnie tutaj tak życzliwi,
Że się natręctwo moje tém usprawiedliwi.

Podkomorzy.

Któżby w przyjemnym gościu mógł widzieć (natręta?

Rotmistrz.

Najazd tak niespodziany...

Podkomorzy.

Na wsi rzecz przyjęta.

Rotmistrz *(do Hrabiny.)*

Co widzę?.. Pani tutaj?.. Jakież-to zdarzenie...

Podkomorzy.

Znasz moją synowicę?

Rotmistrz.

Szczęśliwym się mienię.

Hrabina *(przerywając żywo.)*

Na balu u Marszałka w Wilnie razy kilka
Tańcowaliśmy z sobą!

Podkomorzy *(wesoło.)*

Tu też lada chwilka
Tańczyć może wypadnie: szczęśnie się scho- (dzicie. —
Tak, tak panie Rotmistrzu, trafiasz wyśmienicie:
Każdemu się dostanie — i ja chociaż stary,
Jako gospodarz prawo mam do piérwszéj pary;
Témbardziéj też młodemu nie zbędzie na chęci.

Rotmistrz.

Wszystko tutaj znajduję, co nas w życiu nęci:
Okolica prześliczna, uprzejmi sąsiedzi
Radzi zawsze gościowi, kiedy ich nawiedzi:..
Czemuż to błogie szczęście którém się tu poję,
Krótko tylko trwać może?

Podkomorzy.

Grzeczne słowa twoje
Przyjmujemy z wdzięcznością; lecz jakkolwiek (krótki
Pobyt nam zapowiadasz, wyznam bez ogródki,
Że nie ciebie Rotmistrzu wyglądałem — ale
Wacława Kmitę.

Rotmistrz.

Kmitę?

Podkomorzy.

Znasz go?

Rotmistrz.

Doskonale:
Młodzieniec bardzo zacny i dosyć uczony:
Pełne są o nim wieści Wileńskie salony...

(przypominając sobie.)

Zaraz... jeżli mnie moje domysły nie mylą,
Jadącego tu konno ujźrzałem przed chwilą...
On-to był, nie kto inny...

Podkomorzy.

Przecież go trzymamy!
Muszę naprzeciw niego wybiedz choć do bramy,
Tak mi pilno go złajać... i uściskać może:
Wszak za złe mi nie weźmiesz?

Rotmistrz.

Kto, ja? oh! broń Boże!

Hrabina.

Mnie też na chwilkę odejść pozwólcie łaskawie.

Podkomorzy. *(cicho do Rotmistrza.)*

Że się idzie przystroić, życie w zakład stawię.

Podkomorzy wychodzi spiesznie środkowemi drzwiami — Rotmistrz podaje rękę Hrabinie i wyprowadza ją do jéj pokojów.)

Scena 4.

Zosia *(sama.)*

Rotmistrz tutaj! przeczucia niepojęta władza!..
Nie przypadek go pewnie, lecz miłość sprowadza.
I wdówka też do niego przylega z narowu —
Aj! aj! panie Wacławie, spóźniłeś się znowu.

Scena 5.

Rotmistrz. — Zosia.

Rotmistrz *(w głębi.)*

Zosiu!

Zosia *(udając przelęknioną.)*

Ah! to pan!

(chce odejść.)

Rotmistrz.

Czekaj!

Zosia.

Pani na mnie dzwoni.

Rotmistrz.

Zmyślasz! — Weź ten pierścionek i pomówmy (o niéj.

Zosia. *(kładąc pierścionek na palec.)*

Prawdziwie... sama nie wiem...

Rotmistrz.

Uwielbiam Celinę!

Zosia.

W co ta nie wierzy.

Rotmistrz.

Jakąż zarzuca mi winę?
Kocham ją z równą mocą w téj chwili jak (wprzódy,
Chociaż powinność czułe przerwała zachody.
Przed kilku dniami właśnie, wracając przez (Wilno,
Spieszę do jéj mieszkania z nadzieją niemylną
Że odzyskam jéj względy — słyszę zawie- (dziony
Że do stryja w Kowieńskie wybrała się strony—
Jedyna mi nadzieja pozostała w bracie.
Biorę pocztę, przybiegam i oto mnie macie.

Zosia.

Przybiegasz pan i trafiasz jak raz na wesele.

Rotmistrz.

Jakto, sądzisz że Wacław....

Zosia.

Mówić o tém wiele:
Szczęściem dla nas, że czasu nie obliczył (straty —
Gdyby wcześniéj przyjechał, już byłby żonaty.

Rotmistrz.

Czy podobna?

Zosia.

Na jego czekając przybycie,
Podkomorzy małżeństwo ukartował skrycie,

Rotmistrz.

Natożem ją wynalazł, abym ją miał stracić?
Nie Zosiu — choćby życiem przyszło mi opłacić,
Nie dopuszczę by inny został tu jéj mężem,
I praw mych do niéj będę dochodził orężem.

Zosia.

Orężem? daj go katu! hamujmy ten zapał,
W którym ktoś predzéj guza niż szczęście (przyłapał;
Nikt dzisiaj konkurentów lancą z nóg nie zwala,
I zręczność a nie siła, odsadza rywala.

Rotmistrz.

Przecież w gwałtownym razie sam nie wiem (co pocznę.

Zosia.

Od czegóż dowcip? dla mnie rzeczy są wi- (doczne,
Że Hrabina, choć z uczuć swych się nie spo- (wiada,
Kocha pana, jakkolwiek kochaćby nie rada.
Lecz ślub grozi, czas nagli — ztąd wywód (nie długi,
Że gdzie się jeden spóźnia tam się spieszy drugi.

Rotmistrz.

Miłość mnie natchnie...

Zosia.

Niechże się spieszy, bo wdowa
Obojętność, jak mówi, w téj sprawie zachowa.
Wprawdzie, w dwudziestym roku, podobne (zamiary
Tak zawodne jak stałość przysięgonéj wiary.
Przecież nie traćmy czasu; a gdy ku nam (właśnie
Miłość się jéj rozbudza, niechże znów nie (zaśnie.
Stryjaszek też uprzejmie wyprawić nas gotów.
Zbierz pan całą przebiegłość, cały kunszt za- (lotów:
Układ skromny, głos rzewny, wzrok czuły, ton (słodki,
Łzy, westchnienia, zaklęcia, słowem wszystkie (środki;

A gdybyś nie podołał w miłośnéj szermierce,
Albo czasu zabrakło, szturmem zdobądź serce.

Rotmistrz.

Powracasz mi nadzieję: Miłość niezmyślona
Trafić musi do serca i upor pokona.
Gdybym z nią tylko mógł się rozmówić bez (świadka.

Zosia.

W tém też sęk tylko — reszta poszłaby jak (z płatka...
Dość na teraz — uciekam — nadchodzących (słyszę.

Rotmistrz, *(do odchodzącéj.)*

Mogę liczyć na ciebie?

Zosia.

Jakby na Zawiszę.

Rotmistrz.

Zejdziemyż się?

Zosia.

To zejście jest mi pożądaném:
(pokazując pierścionek.)
Wiem że stracić nie można na rozmowie z pa- (nem.

(wychodzą.)

Scena 6.

Podkomorzy. — Walenty.

Podkomorzy.

Dosyć już tych ukłonów; a powiedz mi raczéj,
Gdzie się Wacław zapodział.

Walenty, *(kłaniając się ciągle.)*

Jasny pan wybaczy...

Podkomorzy.

Czy jeszcze?

Walenty.

Co za droga! i gruda i ślizko...

Podkomorzy.

Mniejsza o to.

Walenty.

Kłusnjem od trzech godzin blisko.

Podkomorzy *(zniecierpliwiony.)*

Gdzież pan?

Walenty.

Stanął przed karczmą — przywołał Belfera
I pewno z nim jak zwykle o Talmud się spiéra.
Mnie kazał jechać naprzód, uwiadomić pana,
Że wraz za mną pospiesza.

Podkomorzy.

To rzecz niesłychana:
Oznajmia swe przybycie a sam gdzieś marudzi.

Walenty.

Twierdzi, że powinnością jest oświécać ludzi
Jakiegobądź wyznania i to w każdym czasie:
Daje nam tego dowód na każdym popasie,
A jak się naukową zaprzątnie gawędą,
Nie pyta czy człek podjadł, co konie jeść będą.
Ręczę że się i teraz zapomni przy żydzie.

Podkomorzy *(spostrzegając Wacława.)*

Resztę mi sam opowie bo właśnie tu idzie.

Walenty. *(na stronie,)*

Ja zobaczę czy starka taka jak bywało.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dwoje nieszczęśliwych koników polnych.

B a j k a.

Na jednéj łące mieszkało raz dwie familie koników polnych, jedna rodem szara, a druga zielona. Dobrze im się działo i żyły bardzo uczciwie i przyzwoicie.

Dały nieba że u szarych dorastał podlotek, a u zielonych także tylko ze płci żeńskiéj. Dziećmi się pokochali a teraz chcieli się pobrać.

Ale ojciec zielonego panięcia ani słyszéć chciał o szarym koniku; on z dziadów pradziadów zielony, a ten tylko kiedyś niekiedyś na zielono podkrapiany. To nie uchodzi, mówił, ród rodem niech zostanie, zgroza kto go krzywi.

Dzieciom było markotno; mama rada-by była zaradzić, ależ chodziło o rzecz, bo tato zielony nie chciał, a szary témbardziéj gdyż miał zawziątek ztąd. Chodziło o punkt honoru. Kawaler i wpraszać się!

Więc to dzieci jeszcze mocniéj smuciło, bo nieszczęśliwa miłość to gorsza od bolu zębów i strzykania w uszach, jak to wiedzą wszyscy co doświadczali.

Raz powrócił tato zielonéj panienki z pola bardzo strudzony gdyż była tego dnia zbiórka, chciał wypocząć, usiadł i zaczął świrżczyć.

Wtedy mówi żona:

Mężulku drogi, dziecię nam bardzo nieszczęśliwe, umrze jeżli nie zezwolimy. Ja umywam ręce, Bóg świadkiem że jéj szczęścia przegradzać nie chcę.

Nic z tego! mówi stary konik. On jest z szarego końca, moja córka by się spodliła. I gdy to powiedział, świrżczył swobodnie daléj.

Ale żona że męża znała, umiała go zażyć aż się wreście nakłonił. Lecz że był bardzo zabobonny, przywołał dzieci i rzekł do nich:

Kochacie się, to wiem, a wam wiadomo żem temu przeciwny; ale twoja matka, zwracając mowę do córki, tyle się naprosiła że na zamęźcie zezwalam, lecz pod jednym warunkiem a któregom szczęścia sam doświadczył. Jest w rodzie naszym taki obyczaj: Kiedy się dwoje pokocha, wychodzą w wilię Ś. Jana na pole, i wyszukują trzy trawki równéj wielkości i wiążą u jednéj niteczkę czerwoną, u drugiéj zieloną, a u trzeciéj czarną. Jeżli przez noc do Ś. Jana nadrośnie trawka z czerwoną niteczką, to znak że będą szczęśliwi; jeżli z zieloną będą mieli liczne potomstwo, lecz jeżli z czarną, tedy małżeństwo będzie nieszczęśliwe, i byłoby grzechem pobrać się mimo przestrogi. A że dziś wilia Ś. Jana, idźcie i róbcie jak powiedziałem. Przepowie wam trawka szczęście, tém lepiéj, i ja za tém; inaczéj ani na oczy szarego panicza.

Dzieci pobiegły i zaraz nad rowem znalazły trzy równe trawki, więc nawiązały u jednéj niteczkę czerwoną, u drugiéj zieloną, a u trzeciéj czarną; potem rozeszły się, a w oczekiwaniu i obawie całą noc to ani oka nie zmrużyło.

Nazajutrz ledwo zaświtało, sunęła się uroczyście cała familia, jak-to u koników skok skikiem, upatrywać z pokorą i z skruchą wyroku losów.

Biada! trawka z czarną niteczką przerosła na cal prawie swoje sąsiadki.

A mówiłem że będzie źle, sami widzicie, rzekł stary koniuch; i potem rozeszli się wszyscy.

Tego samego wieczora na S. Jan, siedziała panna Koniczanka pod głogiem gdzie zwykle schadzała się z koniczkiem, i płakała. Wkrótce przypytał się i kochanek także zapłakany.

Nie wytrzymam! zawołał, jak nas rozłączą.

I ja nie! dodała łkając.

Gardzę życiem! bez ciebie ciężarem dla mnie. mówił daléj.

I ja gardzę! mówiła zadławiona.

Wiesz co? mówi konik: moje postanowienie, odbierzmy sobie życie!

Odbierzmy! ale jak począć? zapytała.

Oto patrz! sto skoków za głogiem widać jezioro, skakajmy i koniec wszystkiemu.

Skakajmy! tak będzie jak mówisz! nic nam innego nie pozostaje, mówi panna; trudno wytrzymać!

Trudno wytrzymać!

I oboje w skok skikiem stanęli nad jeziorem, uściskali się jeszcze raz czule, i pornęli w otchłań.

Lecz po chwili słychać głos: Duszko jak tobie? wszak-ci ta woda sucha, mówi konik.

A panna się odzywa: a mnie się zdaje że to wcale nie woda; pachnie jak len w kwieciu. I przysunęło się oboje do siebie drżące ze strachu.

Dalipan! wszak-to istotnie len; poznaję po koronkach i listkach niebieskich, a w górze nad nami jeszcze to samo niebo jak przedtém.

Cud nas wybawił, szaleństwem byłoby nie dziękować za cuda. — Ale jakże ty wyglądasz moje kochanie? mówi panienka zdziwiona; nie! oczy mię wcale nie zwodzą, ale ci skóra pozieleniała całkiem.

Co? pozieleniała? mówi konik, i napuszył się z powagą. Prawda, zieleniuteńka! mogłaby żabka zazdrościć.

Mój Boże! ależ ja? ja całkiem się zeszarzała, ani kropeczki dawnych kolorów! Pewnie temu strach winien.

Niech sobie będzie co chce. ale ten strój mi się podoba, mówi konik. Lecz panienka w płacz, i mówi: cóż z tego? ale jak do domu wrócimy, to z zamęźcia naszego przecie nie będzie nic, bo twój ojciec zechce udawać pana, a taką synowę jak ja wydziedziczy i odprawi. Trzebaby znowu chodzić do wróżki, a tu Ś. Jana dopiéro za rok.

Wiesz co? mówi konik. Nie wracajmy wcale do domu. Na co nam słuchać co starzy gdyrzą o kolorach i obyczajach w swym rodzie? Przebijmy się na tamtą stronę popod te fale kwieciste i będziemy żyli nie trzeba lepiéj. Ja z miłości pozieleniał, ty zeszarzała — a nie uwierzysz jak ci do twarzy ta płeć zmieniona, moja duszko — w pogoń za nami nie pójdą, bo i dla nich len stanie za morze. Więc śmiało w krainę szczęścia i swobód małżeńskich.

Panience nie było od tego, więc przystała. Rodzice prawda płakali i gazetami powoływali; ale że szczęście nigdy w pamięci, kochankom ani na myśl nie przyszło wracać. Przebili sie na drugi brzeg lannego morza, gdzie takich koników jak oni nie było, tylko jakieś rudawe plemie, a podlejsze i wykształceniem i obyczajem i dowcipem, więc im się dobrze wiodło.

Gdy się pogłoska rozeszła, zaczęły i inne koniki zielone i szare przeprawiać się po nich za morze, i zostały patryarchami nowego narodu całkiem zepstrzonego, który się coraz bardziéj wydyma i nazywa się Szarańczą. Odziedziczył po przodkach żyłkę tryndania się po świecie i przesąd do czarnego koloru.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*